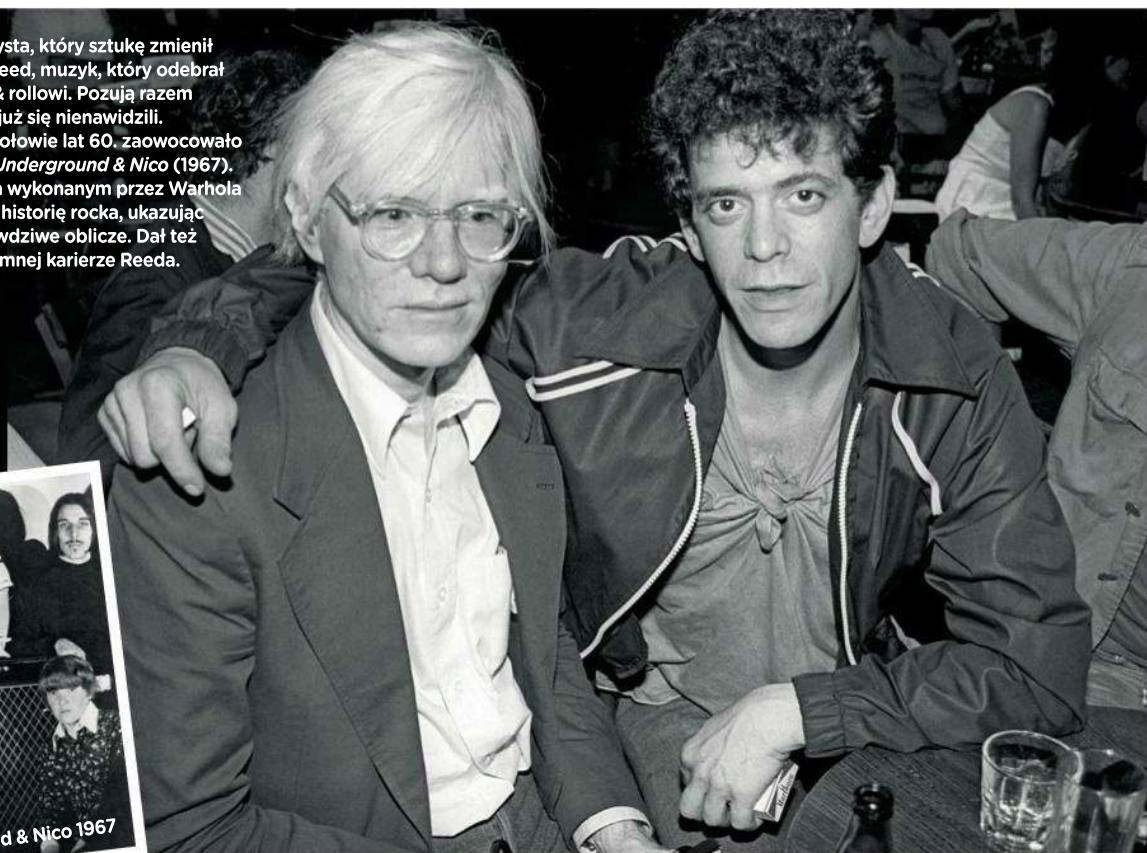
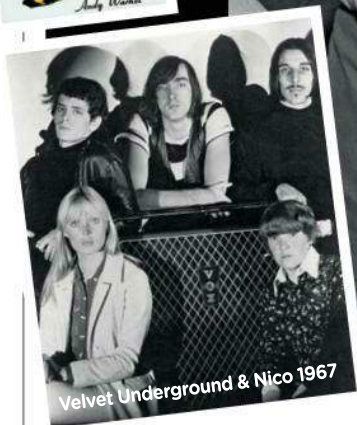


Andy Warhol, artysta, który sztukę zmienił w pop oraz Lou Reed, muzyk, który odebrał niewinność rock & rollowi. Pozują razem w 1978 roku, gdy już się nienawidzili. Ich spotkanie w połowie lat 60. zaowocowało płytą *The Velvet Underground & Nico* (1967). Album ozdobiona wykonanym przez Warhola bananem zmienił historię rocka, ukazując jego groźne i prawdziwe oblicze. Dał też początek karkołomnej karierze Reeda.



Myszka Miki Andy'ego Warhola

Jego piosenki, łamiące wszelkie tabu i sondujące najgłębszy mrok, wyznaczyły niejedną przełom w dziejach rocka. A jakim człowiekiem był Lou Reed (1942–2013)? O tym jak bardzo był nieprzyjemny i skomplikowany najlepiej napisał Howard Sounes. Biografia *Lou Reed. Zapiski z podziemia* ukazuje się w polskim tłumaczeniu. Oto fragment, który przypomina, jak Reed, stojąc na czele The Velvet Underground, zaczynał spacer po dziwnej stronie życia.

Tekst: **Howard Sounes**

3 stycznia 1966 roku, w czasie posiłku na uroczystym obiedzie z okazji dorocznego zjazdu Nowojorskiego Stowarzyszenia Psychiatrów Klinicznych w hotelu Delmonico, nagle pojawili się Velveci (zespół *The Velvet Underground* – przyp. red.) i zaczęli najgłośniejszym jak potrafili grać *Heroin*. Kiedy Lou śpiewał o szprycowaniu się narkotykami, Barbara Rubin (*artystka i performerka* – przyp. red.) i jej kolega filmowiec Jonas Mekas wpadli do sali balowej i zaczęli zadawać skandalizujące pytania psychiatrom i ich ubranym w wieczorowe suknie żonom: „Jaka w dotyku jest jej wagina?” – pytała Barbara w towarzystwie kamerzysty.

„Czy jego penis jest dość duży?”. „Robisz jej minetę? Czego się wstydzisz? Jesteś psychiatrą; nie powinieneś się wstydzić”.

Jednocześnie Andy Warhol zaczął wyświetlać film przedstawiający torturowanie człowieka. Uczestnicy przyjęcia gapili się na szokujące obrazy i na dziwacznych muzyków. Lou (Reed), który nie dbał zbyt o ubiór, miał na sobie brązową zimową kurtkę i swoje ulubione buty kowbojskie na płaskiej podeszwie. John Cale był ubrany na czarno, z wysadzaną sztucznymi kamieniami opaską na szyi. Grał na altówce, jakby chciał ją zniszczyć. Edie Sedgwick, ślicznie wyglądająca w czerwonej spódnicy i czarnej bluzce, tańczyła z Gerardem Malangą, który wy-

machiwał swoim pejczem. Wszyscy mieli na twarzach uśmiechy, ciesząc się zaskoczeniem publiczności. Inna kobieta, elegancka i poważna, stała przy mikrofonie. Kiedy Lou skończył *Heroin*, zaintonowała kolejną dziwną piosenkę, śpiewając z niemieckim akcentem.

Chociaż występ Velvet Underground był zaskoczeniem dla większości z 350 gości, Andy i jego ekipa nie pojawili się niezaproszeni. Artysta ostrzegł organizatorów, że zamierza urządzić „happening”. Wielu gości przyjęło to pozytywnie, pobłażliwie odnosząc się do młodych ludzi, którzy najwyraźniej świetnie się bawili, ale część poczuła się urażona. „Przypuszczam, że całe to zgromadzenie można określić mianem

spontanicznej erupcji id” – stwierdził zirytowany Dr Alfred Lilienthal. Dr Marcel Helman stwierdził, że zbierało mu się na wymioty. „Dlaczego każą nam oglądać tych czubków?” – pytał kolejny psychiatra reportera z „The New York Timesa”.

Całe wydarzenie zostało następnego dnia, 14 stycznia 1966 roku, szczegółowo opisane w „Times” i „Herald Tribune” jako dobry żart kosztem „lekarzy od głowy”. Pozwoliło to na moment oderwać się od ponurych doniesień z Wietnamu. Była to pierwsza poważna prasowa ekspozycja Velvet Underground, ustalająca późniejszy ton relacji z ich występów. O ile Andy Warhol był specjalistą w zdobywaniu rozgłosu dla siebie i swoich przyjaciół, mainstreamowa prasa traktowała Velvet Underground jako mało znaczący dodatek do jego wybryków. Ich muzyka była wyśmiewana jako hałas porównywany do dźwięków alarmów przeciwpożarowych, jak pisał Herald. Nie wspomniano ani słowa o Lou Reedzie, nie mówiąc już o poważnym zrecenzowaniu jego piosenek.

Nico, poważna blondynka, która śpiewała z Velvetami w hotelu Delmonico, została krótko wcześniej, ku wściekłości Lou, narzucona zespołowi przez prawą rękę Andy’ego, Paula Morrissey’a. „Rany, jak on ją nienawidził!” Paul uważał, że Lou nie ma na tyle dużo charyzmy, aby przyciągnąć uwagę publiczności. I chociaż Nico nie potrafiła utrzymać tonacji, po części z powodu tego, że była głucha na jedno ucho, miała tę zaletę, że była czarująca. Dlatego postanowił, że będzie wokalistką kapeli. „John Cale był za. Lou wręcz przeciwnie. Chciał sam śpiewać wszystkie piosenki. Boże! Nie miał za grosz głosu. Całkowicie zdominował Cale’a. Chciał też zdominować mnie, ale nie zdołał” – mówi Paul. Nico stała się swego rodzaju gościnną gwiazdą, która wchodziła na scenę, aby zaśpiewać kilka piosenek z Velvetami, a następnie zniknęła, jakby spieszyła się na inny występ. Można było niemal słyszeć, jak Lou zgrzyta zębami.

Napięcie opadło na moment, kiedy zaczęli ze sobą sypiać. „Zakochałam się w nim. Był taki pięć-knyyyy i bardzo twahdy... twahdy jak pooooośag” – tak Nico opisywała swoje uczucia do Lou. Posługująca się płynnie czterema językami, po angielsku mówiła powoli, z wyraźnym akcentem, przeciągając samogłoski. Ten związek fascynował ich przyjaciół. „Sądziłem, że Lou był w niej zakochany” – mówi Richard Mishkin. Może przez krótki czas tak było; Nico była prawdziwą pięknoscią. „Lou był całkiem nią oszołomiony i do końca nie wiedział, co się dzieje” – mówi

John Cale, dodając, że Lou i Nico łączyła „relacja miłości i nienawiści”. Mary Woronov, która mniej więcej wtedy dołączyła do załogi Fabryki, sugeruje, że Lou spał z Nico po to, aby mieć kontrolę nad występami. „Naprawdę uważam, że posuwał ją, ponieważ należała do kapeli i to był jego sposób, aby nad nią zapanować, a przynajmniej czegoś się o niej dowiedzieć. Wykorzystywał ją jak instrument, więc dlaczego by się nim nie pobawić?”. Z drugiej strony, Nico mogła uważać, że śpiąc z Lou, neutralizuje swojego wroga.

Nico była niezwykle postacią. Naprawdę nazywała się Christa Päffgen. Urodziła się jako nieślubne dziecko w Kolonii w 1938 roku i była jedynaczką. Wychowywała się bez ojca, który zginął w II wojnie światowej. Utrzymywała, że w wieku lat 13 została zgwałcona przez żołnierza, co mogło, ale nie musiało być prawdą, gdyż znana była z tego, że często konfabulowała. Kończąc szkołę, była wysoką, solidnie zbudowaną dziewczyną o smutnym wyrazie twarzy, obdarzoną głębokim głosem i długimi popielato-blond włosami. Zaczynając karierę modelki, przybrała imię Nico i początkowo pracowała w Paryżu i Nowym Jorku. Potem przyszły niewielkie role filmowe. Zagrała siebie w *Słodkim życiu* Felliniego i miała romans z aktorem Alainem Delonem, pierwszym z całej plejady sławnych kochanków. Nico następnie urodziła syna Christiana znanego jako Ari, którego ojcem, zdaniem wielu, był Delon, chociaż on temu zaprzeczał. W 1965 r. trafiła do Londynu, gdzie na krótko związała się z Brianem Jonesem i Bobem Dylaniem, inspirując Dylana do napisania piosenki *I’ll Keep It With Mine*. Do Srebrnej Fabryki przyjechała w listopadzie 1965 r. i krótko po tym Paul Morrissey włączył ją do składu Velvet Underground.

Kiedy Lou przebolewał już to, że został zmuszony do współpracy z szansonistką, dał Nico do śpiewania 3 ze swoich najlepszych piosenek. Pomimo tego, co mówiła Shelley Albin, przyjaciółka Lou z czasów college’u, Nico zawsze utrzymywała, że Loouu, jak go nazywała swoim głębokim, niskim głosem, napisał *I’ll Be Your Mirror* dla niej, po tym jak zwróciła się do niego właśnie tymi słowami, chcąc stać się jego muzą. Dowodem na to, jak bardzo skomplikowane są to sprawy może być to, że inna przyjaciółka Lou ma odmienne wyjaśnienie. „Wiem na pewno, że *I’ll Be Your Mirror* jest o Rybach” – przekonyuje Barbara Hodes, która poznała Lou w 1966 roku. Twierdzi, że Lou, który urodził się w znaku Ryb i interesował się astrologią, sam jej to wyznał. „To nie jest o konkretnej oso-

bie, a o astrologicznym znaku Ryb”. Za to Edie Sedgwick była niemal na pewno inspiracją dla *Femme Fatale*, którą również śpiewała Nico. Trzecią piosenką była *All Tomorrow’s Parties*, która nawiązywała do hedonistycznej sceny w Factory. Nico śpiewała te 3 piosenki w sposób, który był wśród jej znajomych obiektem drwin. „Często ją przedrzeźnialiśmy, wołając na przykład »czo za klauuun«” – wspomina ze śmiechem Martha Morrison, naśladując obcojęzyczną wymowę. „Zawsze wyśmiewaliśmy się z Nico, biednej zagubionej duszy, której pewnie przydałaby się dobra przyjaciółka... biedna Nico”.

Pomimo tego, że Nico spała z Lou i miała dziecko z poprzednim kochankiem, po Fabryce krążyły plotki, że jest lesbijką, co odstraszało Marthę i Moe. „To głupie, ale byliśmy bardzo młode i nieobyte” – mówi Martha. „Nico nas przerosła”. Rzeczywiście, w Srebrnej Fabryce działo się wiele rzeczy, które mogły szokować typowego mieszkańca Long Island. „To byli degeneraci różnej maści” – mówi nadal przerażona Martha. Lou nie miał jednak problemów, aby się dostosować i szybko stał się jednym z ulubieńców Andy’ego. W ten sposób znalazł drugiego, po Delmore Schwartzu, mentora.

„Lou był jak osobista Myszką Miki Andy’ego” – mówi Billy Name, który dobrze znał ich obu. „Był jego marionetką”. Artysta nakręcił kilka krótkich filmów z Lou i szeptał mu do ucha o wielkiej karierze. Lou słuchał, ucząc się od Andy’ego tak jak wcześniej od Schwartz’a. Warhol uczył go wielu rzeczy, radząc też, jak postępować z mediami. Powiedział, na przykład, że wcale nie trzeba mówić dziennikarzom prawdy. Co jednak chyba najważniejsze, zachęcał Lou do ciężkiej pracy. Pomimo wszystkich tych szaleństw, jakie miały miejsce w Fabryce, Andy nieustannie pracował, tworząc dzieła sztuki i zajmując się stroną biznesową. Mobilizował też Lou, aby był równie pracowity, często pytając, ile piosenek napisał danego dnia. Chociaż Lou był płodnym twórcą, żadna z podawanych liczb nie zadowalała Andy’ego, który przekonywał, że powinien pisać więcej. ■



HOWARD SOUNES
Lou Reed.
Zapiski z podziemia

[Wydawnictwo
Kosmos Kosmos]

Przekład **Jacek Mackiewicz**,
tytuł fragmentu
pochodzi od redakcji

PREZYDENCI STANÓW HOLLYWOOD

Tekst: **Marcin Zasada**

Kolaż: **Waciak**

Barack Obama mógł zostać prezydentem dzięki serialowi 24 godziny, a Donald Trump ma szanse zasiąść w Białym Domu dzięki *House of Cards*? Tezy śmiało i może na wyrost, ale wyobraźnia scenarzystów zwykle wyprzedza rzeczywistość, a filmy bardziej nas kształtują, niż jesteśmy w stanie sami przyznać.

Gdy w USA dopiero rosła temperatura przedwyborczej kampanii, przez amerykańskie media przetoczyła się seria porównań Donalda Trumpa z Frankiem Underwoodem, głównym bohaterem serialu *House of Cards*, którego po mistrzowsku gra Kevin Spacey. Trump przywodził na myśl telewizyjnego prezydenta Underwooda z powodu nieposkromionej żądzy władzy, makiawelicznych metod oraz dystansu wobec mediów.

Nie brakowało głosów, że popularność rywala Hillary Clinton to między innymi pokłosie znieczulenia wyborców na brutalną prawdę o brudnych kulisach polityki, którą od czterech sezonów serwuje im

bestsellerowy serial wyprodukowany przez Netflix. Cytowane w związku z tym w prasie i telewizji gwiazdy *House of Cards* sprawiały wrażenie, jakby chciały zrzucić z siebie odpowiedzialność za to, że rzeczywistość w Waszyngtonie naśladuje twórczoną przez nich fikcję. Constance Zimmer, aktorka grająca w serialu nieprzychylną Underwoodowi dziennikarkę Janine Skor- sky, mówiła w „USA Today”, że „Underwood wykończyłby Trumpa, gdyby ten był jego rywalem”. Bowiem właśnie wykańczaniem przeciwników zajmuje się przede wszystkim prezydent USA w *House of Cards*. Zresztą, sam Kevin Spacey żartował w jednym programie rozrywkowym po drugim, że jego serialowy prezydent po prostu „zabiłby kandydata republikanów, gdyby była taka potrzeba”. Czyli, mniej więcej: „Trump jest zły? Tak, ale Underwo-

od jest jeszcze gorszy, bardziej bezlitosny i zdolny do wszystkiego. Jego nie da się naśladować”. Ponadto Spacey, pytany przez Stephena Colberta, prowadzącego „The Late Show”, o to, do kogo dokładnie mówi, gdy w wielu scenach *House of Cards* kieruje osobiste opinie prosto do kamery, odpowiadał, że jest to tylko jedna osoba i jest nią Donald Trump.

CO Z TĄ KACZKĄ?

To oczywiście nie pierwszy przypadek związany z amerykańską prezydenturą, gdy trudno jednoznacznie stwierdzić, co jest pierwowzorem, a co następstwem: polityczny świat przedstawiony w filmie czy realny, który oglądamy w serwisach informacyjnych. Charliego Sheena w roli szurniętego prezydenta Rathcocka można by





Leslie Nielsen jako prezydent w *Strasznym filmie* (2003), na tle portretu prezydenta Forda, Harrisona Forda, który grał prezydenta w *Air Force One* (1997).

uznać za wdzięczną parodię Trumpa (w filmie chwalił się zbudowaniem muru, którym Ameryka odgradziła się od zagrożenia w postaci nielegalnych imigrantów oraz wspieraniem prawa Amerykanów do posiadania broni), gdyby nie fakt, że *Maczeta zabija*, w którym występował to dzieło sprzed ponad 3 lat.

Leslie Nielsen jako prezydent Baxter Harris w trzeciej i czwartej części pastiszowego *Strasznego filmu* (lata 2003 i 2006) miał być jaskrawą kpina z George'a W. Busha; choćby fragment, w którym prezydent Harris, słuchający w szkole czytanki o kaczce, dowiadywał się o ataku kosmitów: „Ludzie umrą na pewno, chcę więc chociaż posłuchać do końca, co będzie z tą kaczka” – to nawiązanie do Busha otrzymującego wiadomość o zamachu na World Trade Center. Ale w innej scenie Nielsen przechadzając się po Białym Domu, głośno myśli nad swoim kolejnym posunięciem. Mija portrety byłych prezydentów, aż zatrzymuje się przy Harrisonie Fordzie, prezydencie USA z thrilleru *Air Force One* i pyta: „Co on by zrobił na moim miejscu?”. To filmowa fikcja, ale w lutym tego roku waszyngtońska National Portrait Gallery, dysponująca kolekcją wszystkich portretów prezydentów USA od George'a Washingtona, ogłosiła, że wzbogaca swoje zbiory o podobiznę... Franka Underwooda, namalowaną przez brytyjskiego malarza Jonathana Yeo.

KOBIETY NA CZELE USA

Wszyscy wiemy, że jeśli następcą Baracka Obamy będzie kobieta, to oprócz pierwszej pani prezydent USA dostaną pierwszego byłego prezydenta w roli „pierwszej damy”. Przy okazji możliwego powrotu małżeństwa Clintonów do Białego Domu warto przywołać historię przedstawioną w filmie *Kisses For My President* z 1964 r. Zapomniany dziś melodramat był pierwszym, w którym na czele USA stała kobieta (w tej roli Polly Bergen). Problem w tym, że – jakby wbrew feminizującym nastrojom na świecie – pani prezydent Leslie McCloud abdykuje, bo... nie jest w stanie zagłuszyć swojego instynktu macierzyńskiego. Zamiast zarządzać zimnowojennym napięciem w relacjach z ZSRR, woli poświęcić się rodzinie i wychowaniu dzieci.

Jeśli kino uznać za zwierciadło nastrojów społecznych w Ameryce, można powiedzieć, że widzowie niespecjalnie są gotowi na to, by rządziła nimi niewiasta. Długo krążył nawet żart z tym związany: „Jak najlepiej oddać odległą, abstrakcyjną przyszłość w filmie science-fiction? Wystarczy pokazać w nim latające

Jak najlepiej oddać odległą przyszłość w filmie SF? Wystarczy pokazać latające samochody, inwazję obcych i kobietę jako prezydenta.



Charlie Sheen jako prezydent w *Maczeta zabija* (2013). Jego ojciec grał głowę państwa w serialu *Prezydencki poker* (1999–2006).

samochody, inwazję obcych i kobietę jako prezydenta USA”.

W innym, charakterystycznym modelu panie przejmowały Białe Domy tylko w wyniku śmierci lub złego stanu zdrowia głowy państwa – choćby w serialach *Commander in Chief* (Geena Davis) czy *Skandal*, w którym wiceprezydent Sally Langston (Kate Burton) najpierw mści się na mężu za zdradę, a następnie obejmuje urząd, gdy prezydent trafia do szpitala po próbie zamachu. Nawet najpopularniejsza pani wiceprezydent, a potem prezydent USA z ostatnich lat – Selina Meyer (rola Julii Louis-Dreyfus) z popularnego, wielokrotnie nagradzanego komediowego serialu *Figurantka*, w końcu zostaje zaprzysiężona, bo jej zwierzchnik rezygnuje, by poświęcić się opiece nad chorą żoną.

Swoją drogą *Figurantka*, swoisty *House of Cards* w krzywym zwierciadle (Selina Meyer: „Europa była kiedyś moim ulubionym kontynentem, a teraz nie ma jej nawet w mojej czołowej piątce”), w doskonały sposób demonstruje zadania wiceprezydenta USA. Jak mawiał komik Jon Stewart, polega ona wyłącznie na czekaniu 4 lata na to, aż coś stanie się prezydentowi.



Kisses For My President z 1964 r. i pierwsza kobieta prezydent. Sporo młodsza od Hillary.



Dennis Haysbert jako czarnoskóry prezydent w serialu *24 godziny* (2001-2010).

ZANIM WYGRAŁ OBAMA

Amerykańska popkultura znacznie łatwiej zaakceptowała inny przełom – wybory wygrane przez Murzyna. Do epoki Baracka Obamy Amerykanów przygotował przede wszystkim niezawodny Morgan Freeman, pierwsza czarnoskóra gwiazda kina obsadzona w hollywoodzkiej superprodukcji w roli prezydenta USA. Czasy prezydentury granego przez Freemana Toma Becka w *Dniu zagłady* (1998) były wyjątkowe – w kierunku Ziemi zmierzała potężna kometa, zdolna zniszczyć nie tylko Waszyngton, ale całą ludzkość. Beck całego świata nie uratował, ale



John Travolta jako kandydat na prezydenta Joe Stanton w *Barwach kampanii* (1998) – jawna karykatura prezydenta Clintona.

jego mowa w końcowej scenie do rozbitków zgromadzonych po katastrofie przed ruinami Kapitolu („Miasta zostaną odbudowane, a bohaterowie zapamiętani”) to kwintesencja amerykańskiego wyobrażenia o ojcu narodu, reagującym w najmniej drzewski z możliwych sposobów w obliczu stanu wyjątkowego.

Obserwując mimikę przemawiającego Freemana nie sposób nie pozbyć się refleksji, że coś podobnego widzieliśmy też później w telewizji. Co prawda znawcy amerykańskiej polityki twierdzą, że jeśli chodzi o ekranowy pierwowzór, Barackowi Obamie najbliższy jest do roli prezydenta Davida Palmera (aktor Dennis Haysbert) w serialu *24 godziny*, tym niemniej Haysbert sam przyznawał, że jego bezpośrednią inspiracją był właśnie Tom Beck z *Dnia zagłady*. Latem 2008 r. izraelski dziennik „Jerusalem Post” napisał, że zdobycie nominacji Demokratów przez Obamę (w wewnętrznej rywalizacji pokonał wówczas Hillary Clinton) umożliwiła m.in. popularność czarnoskórego prezydenta w serialu *24 godziny*, znacznie większa niż notowania fikcyjnych kobiet-prezydentów (np. w przywołanym wcześniej serialu *Commander in Chief*).

SUPERBOHATER Z BIAŁEGO DOMU

Gdyby Donald Trump chciał przekonać Amerykanów, dlaczego nie jest gorszym kandydatem niż pani Clinton, powinien

był przypomnieć im film nakręcony u schyłku urzędowania w Waszyngtonie jej męża. *Barwy kampanii* (1998 r.), polityczna tragifarsa w reżyserii Mike’a Nicholasa powstała na podstawie głośnej książki Joe Kleina, dziennikarza „Newsweeka”, który śledził i relacjonował pierwszą kampanię wyborczą Clintona w 1992 roku. Oficjalnie bohaterami filmu nie byli Bill i Hillary, a małżeństwo Joe (gubernatora i prezydenta in spe) i Susan Stantonów, jednak podobieństwa (również fizyczne – w rolach głównych John Travolta i Emma Thompson) były na tyle dosłowne, że nawet mało rozgarnięty widz wiedział, że ma do czynienia z kąśliwą parodią ówczesnej pierwszej pary USA.

Jak na ironię, przedstawiony tam clintonowski (okazywany indywidualnie i w duecie) oportunizm, dwulicowość oraz elastyczne podejście do zasad etycznych (a w przypadku Billa – również panowania nad swym libido), został przyćmiony przez... prawdziwą „afere rozporkową” prezydenta Clintona.

Mozna się spierać, czy w tym przypadku życie uprzedziło fikcję, czy odwrotnie. To jednak kolejny dowód, że o ile amerykańska polityka traktuje kino jak miernik społecznych nastrojów, tak amerykańskie kino traktuje politykę zgodnie ze słynną hipotezą Franka Zappę: „Polityka to tylko jedna z dziedzin przemysłu rozrywkowego. Być może najzabawniejsza”. Do tego myślenia przystaje zarówno twórczość



Marsjanie atakują! (1996) i doskonale w swych słabościach Jack Nicholson.



W opublikowanym przez CNN rankingu Peter Sellers w *Doktorze Strangelove...* (1964) był najlepszym filmowym prezydentem USA w historii kina.

zaangażowana (jak ta z Clintonami, czy cały nurt biograficzny – *Nixon*, *JFK*, *W. lub Lincoln*), jak i filmy z pogranicza rodzinnej rozrywki nadające się do ramówki TVN w drugi dzień świąt. W nich prezydent USA bywa zwykłym, pocziwym śmiertelnikiem. Jak choćby Michael Douglas jako Andrew Shepard w *Miłosci w Białym Domu*. Tyle, że dla bardziej krytycznego widza wizerunek najważniejszego polityka świata jako troskliwego, prostolinijnego ojca, kochanka i przyjaciela, który w dodatku jest w stanie oddzielić dobro od zła, podejmując decyzje w sprawach globalnego ocieplenia czy dostępu do broni palnej, jest mniej realistyczny niż szarżujący w swoim stylu Jack Nicholson jako prezydent James Dale, próbujący dogadać się z najeźdźcami z obcej planety w *Marsjanie atakują*.

Jeszcze à propos zestawienia „imperatora” USA ze zwykłym człowiekiem – był taki sympatyczny film *Dave* z Kevinem Kline w podwójnej roli: prezydenta i jego sobowtóra. Gdy ten pierwszy zapada w śpiączkę, dubler zostaje wmanewrowany w tymczasowe rządy krajem. I okazuje się, że w ciągu kilku dni, tak na chłopski rozum, naprawia kilka problemów społecznych, pomaga odzyskać autorytet głowy państwa, a na-

wet... uzdrawia relacje z Pierwszą Damą. Trzeba przyznać, że to dość radykalna próba uzmysłowienia obywatelom, że amerykański prezydent to trochę taki Michael Jackson odizolowany w swoim pałacu od problemów codziennego życia. Może dlatego tak chętnie powielany jest w kinie inny abstrakcyjny stereotyp – prezydenta USA w stroju superbohatera. Tu poprzeczka zawsze wisiała wysoko, wszak amerykańska kultura skutecznie zmitologizowała wielkich ojców Stanów Zjednoczonych: Waszyngtona, Jeffersona czy Lincolna. Więc w *Dniu Niepodległości* prezydent Thomas Whitmore (Bill Pullman) nie tylko dowodzi obroną przed atakiem kosmitów, ale i sam w niej uczestniczy jako pilot myśliwca. Masowa widownia lubi wiedzieć, że w Białym Domu nie mieszka fajtlapowaty technokrata, ale mężczyzna z krwi i kości. To dlatego

Wyzwania dla Clinton lub Trumpa będą zbliżone do tych, z którymi borykał się Peter Sellers w roli prezydenta Muffleya w *Doktorze Strangelove*.

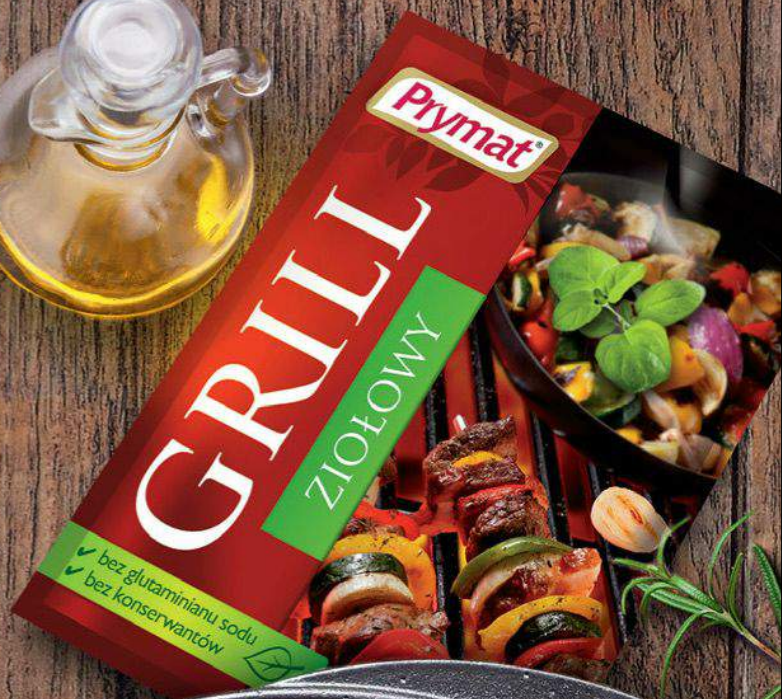
w wielu rankingach najlepszych fikcyjnych prezydentów USA wygrywa ten pan: Harrison Ford jako James Marshall w *Air Force One*. Uprowadzony samolot? Marshall wykorzystuje umiejętności zdobyte w siłach specjalnych i niemal w pojedynkę rozprawia się z porywaczami, następnie bierze stery maszyny w swoje ręce, unika zestrzelenia... i to wszystko bez drugiego pilota o imieniu Chewbacca.

JAK ROZMAWIAĆ Z PUTINEM?

Niemiecki kanclerz Bismarck mawiał podobno, że są dwie rzeczy, których kulisy nie powinny być odsłaniane społeczeństwu. Pierwsza to produkcja kielbasy, druga – robienie polityki. Jeśli dziś Ameryka uważa, że poznała politykę od kuchni dzięki serialowi *House of Cards*, równie dobrze mogłaby stwierdzić, że wyzwania dla Clinton lub Trumpa będą zbliżone do tych, z którymi borykał się Peter Sellers w roli prezydenta Merkina Muffleya w cudownie absurdalnym filmie *Doktor Strangelove*, czyli jak przestałem się martwić i pokochałem bombę Stanleya Kubricka. Wystarczy przeczytać niedawny komentarz opublikowany przez prestiżowy magazyn „Foreign Policy”: „Kreml wierzy, że Hillary chce rozpocząć wojnę z Rosją”, „Dzień, w którym Hillary Clinton zostanie wybrana na prezydenta zostanie zapamiętany jako początek Drugiej Zimnej Wojny”. Z kolei Trump chce z Rosją współpracować. Tu kłania się *Doktor Strangelove* i pamiętna rozmowa telefoniczna prezydenta Muffleya z wodzem Związku Radzieckiego w chwili, która decydowała o losach świata: „Dimitri, pamiętasz nasze wątpliwości związane z bombą? Jeden z naszych dowódców... coś mu się pokreśliło, popełnił wielkie głupstwo. Rozkazał, by jego bombowce zaatakowały twój kraj. Możesz to sobie wyobrazić? Jasne, że lubię z tobą rozmawiać, jasne, że chciałem cię usłyszeć. Nie mów, że jest ci bardziej przykro ode mnie”. *God bless America!* 🇺🇸

Prymat®

Wspólne chwile
NA GRILLU



Do szaszłyków najlepiej wykorzystywać delikatne kawałki mięsa, aby szybko i równomiernie się grillowały. Zamiast karkówki polecam użyć polędwicy wieprzowej lub piersi z kurczaka. Pamiętajmy, aby drewniane patyczki przed nakładaniem produktów namoczyć w zimnej wodzie – dzięki temu nie przypalą się podczas grillowania.

Robert Sowa
Mistrz kulinarny

N°31
restaurant-bar



SKANDYNAWSKI W STYLU

Wygodne, przestronne, nowoczesne
i do bólu skandynawskie: Volvo V90.



VOLVO V90

SILNIK 4-cylindrowy, wysokoprężny, turbodoładowany, o poj. 2 l

MOC 235 KM przy 4000 obr./min

MOMENT OBR. 480 Nm przy 1750–2250 obr./min

0–100 km/h 7,2 s

V-MAX 240 km/h

CENA 330 tys. zł

Na samochody kombi rodem ze Szwecji mówi się – przyznam, że niezbyt mile – „cegły”. To chyba na pamiątkę słynnego modelu 240, który miał pudełkowatą sylwetkę. Od tamtych czasów wiele się jednak zmieniło. Tegoroczna nowość – V90 – zachowuje skandynawski styl i w jego sylwetce trudno się doszukiwać nadmiaru barokowych ozdóbek, ale też na miano neo-cegły zdecydowanie nie zasługuje. Dlaczego? Proste! Ten samochód jest po prostu monumentalnie piękny, i tyle.

Tylko cztery cylindry

Diesel? Taki rodzaj napędu nie do końca mi pasuje. Zdecydowanie wolę mocne silniki benzynowe, ale diesel – muszę to napisać – są oszczędniejsze. Pod maską testówki jest aktualnie najmocniejszy w tym modelu silnik wysokoprężny, czyli D5 – 4 cylindry, turbo, 235 koni. Najbardziej obawiałem się liczby cylindrów. Takie jednostki były i są montowane do pick-upów, gdy przecież V90 pretenduje do miana klasy „trzy klasy wyżej”. Tu jednak silnik pracuje cicho oraz bez wibracji. Nie brakuje mu ani mocy, ani momentu, względnie oszczędnie traktując moją kieszeń. Średnie zużycie przy jeździe autostradowej wynosi mniej więcej 7–8 litrów. Że dużo? Ano tak, ale ja mam „ciężką nogę”.

Jacht na autostrady

Gdybym ten samochód chciał jakoś jednak nazwać, wybiorę słowo jacht. To pierwsze skojarzenie, które przyszło mi do głowy i wcale nie chodzi mi o to, że Volvo sponsoruje wielkie oceaniczne regaty. W „jachcie” z serii V90 dosłownie płynie się po drodze jak po spokojnym oceanie. Na początku trzeba przyzwyczaić się do rozmiarów samochodu i tego, że siedzi się w nim nisko, głęboko, z linią okien poprowadzoną na wysokości ramion. Potem z każdym przejechanym kilometrem przychodzi frajda z jazdy, bo V90 jest świetnie wyciszone oraz MEGAKOMFORTOWE. Posłużę się nieco wyświechtanym porównaniem, ale na niemieckiej autostradzie da się spokojnie „żeglować” ponad 200 km/h, nie atakując uszu nadmiarem decybeli. Nie mam muzycznego słuchu ani tym bardziej nie jestem nadwrażliwy na hałas, ale przy takiej prędkości lusterka i wycieraczki nie generują praktycznie żadnego szumu! Więcej decybeli zdaje się dochodzić od szklanego dachu, ale może to tylko złudzenie. Wielki plus. No i ten bagażnik, do którego da się wpakować 560 litrów różności. Jak w wanie.

Elektronika jest wszędzie

Muszę przyznać, że V90 to samochód zelektronizowany. Świetnie podłącza się do niego smartfona – posłuchacie muzyki nie tylko z dysku, ale też ze Spotify czy innych podobnych serwisów w sieci. Samochód „widzi” zewnętrzne nawigacje (np. Google Maps), czyli „mówi” tym samym głosem, co w telefonie.

Audio to bajka. Muzyka w zasadzie płynie zewsząd. Ustawienie całego zestawu tak, aby w kabinie każdy czuł się jak w sali koncertowej w Göteborgu, uznają za akustyczne arcymistrzostwo.

Co z elektroniką, która służy bezpieczeństwu? W Volvo to oczywiste, że jest jej całe mnóstwo. Niektóre systemy są przydatne (np. informujący podczas cofania, że z tyłu wchodzi pieszy lub zbliża się samochód), inne – jak pomocnik trzymający samochód w pasie ruchu – uznają za mniej potrzebne. Owszem zdarzyło mi się użyć tzw. Drive Pilota, który pozwala lekko się rozluźnić podczas jazdy na autostradzie – Volvo nie zjedzie wtedy z pasa, samoczynnie kontroluje prędkość i odstęp od innych pojazdów. Do 130 km/h kierownicą kręci dzielnie sztuczny mózg, dając szoferowi chwilę wytchnienia. Fajne? Tak, ale ja to wyłączyłem. Przyjemność z jazdy wciąż wydaje mi się ważniejsza. 🚗



Zdecydowana sylwetka, wielki bagażnik – Volvo jak z definicji... Volvo.



Kokpit z pionową deską rozdzielczą: rozwiązanie typowe dla Volvo.



Volvo świetnie współpracuje ze smartfonami.



Przyjemność z jazdy jest najważniejsza: system audio Bowers & Wilkins.

5 NAJCIEKAWSZYCH ELEKTRYCZNYCH

Dorośliśmy do zmian i chcemy jeździć elektrowozami. Oto 5 aut, które chętnie zobaczymy w garażu. Żeby jeździć taniej i eko.



TESLA 3

Najnowsze auto ze stajni Elona Muska i zarazem najtańszy elektryczny samochód marki Tesla. Dla obniżenia kosztów nieco inaczej rozwiązano układ napędowy, który jest teraz na jedną - tylną oś (choć w ofercie będą również wersje z napędem wszystkich kół). Bateria wystarcza na 345 km (wkrótce mają być nowe akumulatory, które ten zasięg wydłużą), samochód rozpędza się do setki w 6 sekund i gwarantuje komfort dla 5

osób (podkreśla to sam Musk). Teslę wyposażono w słynnego Auto Pilota, czyli system jazdy autonomicznej - „trójka” sama utrzyma pozycję na pasie, zahamuje i unika wypadków. Samochód ma dwa bagażniki - z przodu i tyłu. Pierwsze egzemplarze trafią do klientów już za kilka miesięcy, ale do tego czasu większość danych technicznych (w także pojemność bagażników) jest utajnionych. Cena w przedsprzedaży ok. 35 tys. dolarów.

SUPERPREMIERY Z TARGÓW W PARYŻU

BENTLEY FLYING SPUR W12S

Kolejna generacja limuzyny z Crewe ma teraz 635 koni i silnik W12. Moment obrotowy 820 Nm daje przyspieszenie do setki w 4,2 s. Prędkość maksymalna ponad 320 km/h!



FERRARI LAFERRARI SPIDER

Odkryta odmiana ściśle limitowanej serii LaFerrari. Samochód ma 800-konny silnik V-12 i motor elektryczny, które łącznie dają moc prawie tysiąca koni. Aerodynamika z otwartym dachem jak w coupé.



OPEL AMPERA-E

Nowość Opla (i Chevroleta, który równolegle chwali się siostrzanym Boltem EV) to rekordzista w kwestii zasięgu! Niemcy obiecują, że ten 5-drzwiowy kompaktowy samochód w pełni naładowany pobije europejską elektro-konkurencję – Opel ma zasięg lepszy o 30 procent.

Silnik: 204 KM przy 3000-12000 obr./min. **Moment obrotowy:** 360 Nm przy 0-3 tys. obrotów. **V-max:** 150 km/h **0-100 km/h:** 4,5 s **Bagażnik** 380 l **Zasięg:** 400 km **Cena nie została podana**



NISSAN LEAF

Ten samochód gościliśmy niedawno w redakcji PLAYBOYA i jesteśmy nim pozytywnie zaskoczeni, bo jest cichy i dynamiczny. Nie spodobały się nam wprowadzić twarde plastiki w kabinie, ale niektóre rozwiązania tego auta – np. podgrzewana tylna kanapa – trafione i na szóstkę.

Silnik: 109 KM przy 3000-10000 obr./min. **Moment obrotowy:** 254 Nm przy 0-3 tys. obrotów. **V-max:** 144 km/h **0-100 km/h:** 11,3 s **Bagażnik:** 370 l **Zasięg:** 250 km. **Cena od 128 tys. zł**

HYUNDAI IONIQ ELECTRIC

Pierwszy produkowany na wielką skalę samochód elektryczny koncernu z Korei. Ioniq trafi do sprzedaży w wersji hybrydowej, plug-in – doładowywanej z domowego kontaktu oraz całkowicie elektrycznej, które różnią się w zasadzie tylko silnikami i detalami (identyczne nadwozia). **Silnik:** 120 KM przy b.d obr./min. **Moment obrotowy:** 295 Nm przy 0-3 tys. obrotów. **V-max:** 165 km/h **0-100 km/h:** 9,9 s **Bagażnik** 350 l **Zasięg:** 280 km **Cena nie została podana**



BMW i3

Superwytrzymała kabina z włókna węglowego, materiały z recyklingu oraz naturalne włókno. Do tego całe mnóstwo elektroniki (samochód parkuje samodzielnie, także z użyciem smartfona) oraz pompa ciepła w układzie klimatyzacji. **Silnik:** 170 KM przy 0-5000 obr./min. **Moment obrotowy:** 250 Nm przy 0-4,5 tys. obrotów. **V-max:** 150 km/h **0-100 km/h:** 7,2 s **Bagażnik** 380 l **Zasięg:** 200 km lub 300 km (ze spalinywym „wydłużaczem zasięgu”) **Cena od 153 tys. zł**

MERCEDES AMG GT C ROADSTER

Ponadczasowa sylwetka i osiągi kabrioletu z marzeń: 550 koni, 680 Nm, 0-100 km/h w 3,7 s. Szybciej niż wersja z nadwoziem zamkniętym...



PORSCHE PANAMERA

Topowy samochód z Zuffenhausen po solidnym odświeżeniu sylwetki i silników. Dla miłośników oszczędzania 455-konna Panamera 4 E-Hybrid, ale my stawiamy na Turbo – 4 litry pojemności i doładowanie daje 550 KM.



FIFI POULAKIDAS

BOSKIE BUENOS

zdjęcia: **ANGIE MONASTERIO**

Aktorka, piosenkarka i tancerka. Nazywa się Estefania Ailin Poulakidas, ale już od dzieciństwa wszyscy mówią na nią Fifi. Zrobiło się o niej głośno w Ameryce Południowej, kiedy zagrała w teledysku *Adelante* popularnego zespołu Illya Kuryaki and & The Valderramas z Buenos Aires. Jednak prawdziwy szal zapanował, kiedy w lipcu trafiła na okładkę argentyńskiego PLAYBOYA. Fifi twierdzi, że teraz skupi się na własnej karierze muzycznej, my jednak czekamy, by zobaczyć ją na dużym ekranie, bo dziewczyna ma w sobie to coś. 📺









